

wierzy w jego uczciwość i miłość i przebacza mu scenę gwałtu, którym ją zmusił do ślubu, bo wie, że go do niej popchnęło uczucie, którego panem nie był. Miłości kobieta wiele przebacza, więc i jemu też ona przebacza. Wszystko to wymówione było głosem tak spokojnym, tak przekonującym, iż Józef na prawdę uwierzył w przebaczenie Leontyny, i co więcej, uwierzył w swoje w pożyciu z nią szczęście. To tak niespodziewane szczęście oddziało w sposób cudowny na Józefa. Z gwałtownego stał się łagodnym i potulnym. Zonie swojej ulegał we wszystkim, był jej sługą a nie panem. Każde jej słowo było dla niego rozkazem, każde życzenie natychmiast spełnionem. To też gdy Leontyna wyraziła życzenie opuszczenia Wilna, gdzie tyle gorzkich i przykrych wspomnień zasępiało jej życie, i wyjechania za granicę, Józef natychmiast się zgodził i młoda para opuściła stolicę Litwy. Podróżując czas jakiś po Niemczech, Francji i Szwajcarii, przybyli następnie do Krakowa, później do Lwowa, i tu postanowili zamieszkać.

Pewnego razu, przechodząc spacerem po wioskach Hetmańskich, spotkali mężczyznę, w którym Leontyna poznała od razu, chociaż był bardzo odmienny, Henryka, i pobiegła ku niemu z powitaniem. Za nią pospieszył i Józef i czule go witał, Henryk dość obojętnie odpowiedział na powitanie, że jednak nic nie wiedział o znanych nam scenach gwałtu i denuncjacji, jakie zaszły w domu hrabiego, i mniemał, że Leontyna rzeczywiście z miłości wyszła za Józefa, dał się ubłagać prośbom młodego małżeństwa i zaczął bywać w ich domu, nadmieniwszy, iż we Lwowie przebywa pod nazwiskiem Prasseina z powodu, iż rzeczywiste nazwisko mogłoby spowodować jego wydalenie.

Zalescy mieszkali na Gródeckim i prowadzili dom otwarty, przyjmując u siebie licznych gości. Schody kobiercami wysłane, salony przepysznie umeblowane, lokaje suto ugalonowani, okazałość we wszystkim przy gościnności gospodarstwa i często urządzanych zabawach, zapewniły Zaleskim reputację bogatych ludzi.

W dzień imienin Józefa długi szereg eleganckich powozów stojący przed domem wskazywał, iż żyli w towarzyszym arystokratycznym. Jakoż goście, którzy napelniali tego dnia salony, składali się z samych prawie wielkich panów. Zabawa szła wesoło, przyjęcie było wspaniałe.

W jednym z bocznych pokoi przy zielonym stoliku siedziało kilku panów, a pomiędzy nimi Józef. Grano w hazardowne gry, stopy złota przenosiły się od jednego do drugiego gracza, którym się przypatrywała gromada młodych paniczów, gogów lwowskich.

Józef grał nieuważnie i ciekawym wzrokiem rzucał na przypatrujących się.

— A, panie Prassein — zawołał nagle — czy nie zechcesz z nami zasiąść do stolika?

— Chętnie, panie Józefie — odrzekł zapytany, mało jeszcze znany w tem towarzystwie Henryk.

Od czasu jak opuścił Wilno, zmienił się prawie do niepoznania. Dumne jego wysokie czoło, na którym nawet moskiewska niewola śladów upokorzenia i upodlenia pozostawić nie zdołała, zaorało się zmarszczkami i ponuro zasępilo. Nie znany mu dawniej ironiczny uśmiech nie

schodził mu teraz z twarzy, a oczy błyszczały jakby trawiającym go ogniem.

— Panie Józefie! — zawołał — gracie bez wina, nie wesoło! Żle przyjmujesz swoich gości; każ-że przynieść kilka butelek na stół zielony!

— Przepraszam szanownych panów. Ma słuszność pan Prassein, gra bez wina, to jak ciało bez duszy! — zawołał Józef złośliwie uśmiechnięty i wydał lokajowi rozkaz przyniesienia kilka butelek starego węgryna.

Przy winie szła rzeczywiście gra raźniej. Henryk zapalał się coraz więcej, ale grał nieszczęśliwie i przegrywał raz po raz. Policzki jego pałały, oczy się rozogniły i usiłowały przeniknąć tajemnicę kart.

— Przegrałem znowu! — krzyknął, rzucając karty na stół i nalał kielich wina, który jednym haustem wypił, jakby chciał zalać ogień, który go wewnątrz palił.

Wkrótce potem przestano grać, bo panie zaprosiły graczy do tańca, i został tylko w pokoju sam Henryk. Głowa mu ciążyła, siadł przy stoliku opuszczonym i zdrzemnął się.

Z sąsiedniego pokoju lekko się drzwi otworzyły i ukazała się w nich wyniosła postać Leontyny.

— Biedny Henryk! — pomyślała — jakże on upadł na duchu! Czyż ja go zdołam jeszcze uratować? czyż on mnie zrozumie i uwierzy? czy zdolnym jeszcze będzie do jakiegokolwiek działania? To zapewno wpływ Józefa doprowadził go do takiego stanu.

I spojrzawszy nań wzrokiem, w którym litość z miłością połączona była, i nie przebudziwszy śpiącego, również cicho oddaliła się do gości. Gdyby była jeszcze zatrzymała się chwilę jedną, byłaby usłyszała odpowiedź na swe myśli, Henryk bowiem śnił o niej i jej imię wymówił głosem takim, któryby ją objaśnił o stanie uczucia jego dla niej.

Józef jakby umyślnie szukał Henryka. Pod lada pozorem urządzał u siebie zebrania, zawsze zapraszając na nie Henryka i prawie za każdym razem doprowadzał go do stanu, w jakim go widzieliśmy podczas imienin jego. Czyż tym sposobem chciał uczucie miłości w Leontynie zamienić na uczucie pogardy dla Henryka?

(Dok. n.)

Z Moskwą precz!

I znowu ży i krew,
Pożogi, rzezie, mordy;
I znowu gwałtu siew
Niosą caratu hordy!
I widzi to świat cały,
Tysiąc rządzących głów,
I cóż? czy skamieniały?
Nie — oprócz marnych słów!

Czy brak istotnych sił
Powodem ich zdrętwienia?
Czy kłamstw moskiewskich pył
Tak zaćmił im sumienia?
Nie, nie, to pychy mara!
To, samolubstwa trąd!
Przewrotność i zła wiara!
Dyplomatyczny śwąd!

Za małyż wyrzut im
Polski nieszczęsna dola?
Czy chcą pożogi, dym
Na własne zanieść pola?
Więc do was wolam ludy,
Nad wami zawisł miecz!
Podnieście głos! Precz brady!
Precz gwałty! z Moskwą precz!

M. Rodoc.

OBRAZY Z KRAJU.

Obraz pierwszy:

KROPIWNIK.

Do Michała W***.

Przez

Ernesta Bulawę.

Kto mi dał skrzydła? kto mnie odział pióro?

J. Kochanowski.

Italia! patria mia! donna mia formosa...

Leopardi.

I.

Za dawno już nie wiem, co się z tobą dzieje,
Pytam więc, choć nie prędko odpowiedź otrzymam,
Bo chyżej myśl niż pismo przeleci to knieje
Cieniste, jednak — myśli potoku nie wstrzymam...
W chwilach, kiedy się serce pełne tajnych wrażeń,
Co z chmur tęskne wyszło, przechyla jak czara
Zbyt pełna, niechaj drugie po upale marzeń
Jak kwiat bierze je rosą, i niechaj się stara
Jak arfa, co w oddali drugiej arfy brzmienie
Doslyszysz, odpowiedzieć tony słowiczeni.
Niech tęskna swe akordy puści na przestrzenie,
A w drodze się spotkają — i ulecą z ziemi!

* * *

Od tygodnia tu bawię, mieszkam w malej chacie,
Dzikiej, jak orle gniazdo, rzuconej na górze,
Opierścionej Stryjem szumiącym, i w szacie
Zielonej dzikich sosen; chorał ich w naturze
Gubi się szumem westchnień, które w chmurach giną,
Orły krążą samotnie, chmura chmurę goni,
Księżga-obrzym rozwarła — wśród niej czasy płyną,
I zda się raj straconym nie jest w tej ustroni...
Góral strzelec mnie gości, co ma siedmiu synów,
Jak sam dzikich myśliwych, co biją niedźwiedzie,
Z nimi w górach Nemroda bywam świadkiem czynów.
Czasem też samotnego pies mnie we mgłach wiedzie
Po nad zdroje szumiące, co z skał upadają
I lecą tęskne, rytmem spienionej pogoni,
Z zieleni mchów i świerków ku otchłaniom grają
Wodnemi struny, ginąc wśród skalistej bloni...
Góral mój — typ, jakiego dzisiaj już nie kupi
Za żadne skarby świata, tak w skały wrośnięty,
Homerycznie grubiański, z szekspirokska głupi*),
Ale nieoceniony, gdy jako jest, wzięty.
Jakim Czyrek, Pan lowczy, także rad się wabi,
A w kodeksie myśliwskim biegły jak sam Rabbi;
Iwan, Hnat, Stefan, Jędrus, Paweł, Hryń, Wasylek,
To siedmiu synów zastęp, typów, które wabi
Niedźwiedź, dzik, czasem cozy Maryn i Marylek...
Ale wierzaj mi, nie raz Jakuba synowie
I świat biblij tak dziwnie tu odzwierciedlony,
Że patrząc czasem zdumion, bał i zachwycony
W obrazy tej prostoty, co mi dają zdrowie.

*) Przenosiła ta oczewiście nie co innego wspomina jak typy gburów Homera i z głupia frantów Szekspira.

Czasem, jak stary Budrys ze swymi synami
 Prawi o dawnych czasach, lże myśliwskie dzioje,
 Pełne dźwięku, leśne tworzy epopeje;
 Czasem sięgnie za podaną rdzawymi skarbami,
 Od detu jego płaczą rozrzucone knioje,
 Od bajek bolą boki, jeżeli komiczne,
 A wlos się zjeży czasem, jeżeli tragiczne —
 Pełne duchów, czarownic, te światy upióra
 Niejednego w wędrówce przeraża znachora.
 Kropiwnik leży cudnie! Środkiem srebrna wstęga
 Szpotaem zwierciadlanym szumi w kolo góry,
 We wieńcach czarnych lasów, skroń ich niebios sięga,
 A w niebiesiach się waży orzeł wichropiory...
 Stryj filut, między skały jaszczurką się kręci,
 Staletnie podmył drzewa i w głębinie nęci,
 Ra-salki w nim, gdy księżyc zabłyśnie, pluskają,
 Bięgnąc po mgłach murawy, w kwiaty je dzierzgają...
 A nocą liczne trzody nie raz wilk przeraża,
 Czasem niedźwiedź zagości w pasieco włodarza,
 Po sosnach się swawolna przemyka wiewiórka,
 Kuje dzięcioł w poblizu... a w dali przepiórka.
 Dalej Rybnik, wiosieczka dziko porzucona
 W dolach, tak cudna, że w niej rozkochać się trzeba,
 Do koła gór i borów stokiem otulona,
 Sama — jak śród rodziny dziecię tęskne nieba!
 Ciemna zieloność nad nią i mchów aksamity,
 Nad borami na chmurach tęczy koloryty,
 Głos pielgrzymi żorawia, co swe loty trzodzi
 I wędrujące z szumem nieustannym lasy:
 Że idą naprzód, próżno własny szum je ludzi!...
 Zgrzyt tartaków i bydląt dzwonki, echa ludzi,
 Wzask cyganów przechodnich, wędrownie niewczasny,
 Ale to wszystko cudne i tęsknotę budzi.
 Ryb tam nie ma — lecz za to rybki czarnobrewne,
 Wiotkie i rusalczane, z kwiatkiem i piosenką,
 Wysoko podkasane*), przypominają ci Ewę
 I raj, co tutaj począł się za gór światami!
 Czasem ślepiec wędrowny brzęknięcie swą lirenką,
 Nim pociągnie daleko, hen! za żorawiami!
 (O jednym wieść, że ślepy był i grał śród głodu,
 A pszczoły do ust niosły mu z ląk swoich miodu.
 Więc pszczelom a nie ludziom dziękował piosenką.)
 Życie wieczne wesole w chacie z góralami,
 Ci przęda, ci śpiewają, skrzypce i fujarka,
 Bajki, szepty i śmiechy, krąży z miodem czarka,
 I cyganiatko czytać uczyć wieczorami...
 Cisza nocy tu cudna! Szum rzeki na dole,
 Gwiazdy nad gór szczytami, co trzmielą wieczyście,
 Dawonki krów — w dali ognie jasne plomieniście,
 I patrzące na księżyc góralskie pachole,
 Co gra na swej fujarce. Tony echem płyną,
 Cisza błoga do koła — nikt pieśni nie słyszy,
 Chyba ją słuch anioła ulowi w tej ciszy,
 Gdy wiecór przelatuje nad tą gór krainą...
 Wschód słońca czasem budzi mnie na mojem sianie,
 Złoci ściany sosnowe, któremi zagłada,
 I słuchając promieni, trza rzucić posłanie.
 Serce, oko i dusza nowych cudów żąda.
 Idę — i jedna wielka Kropiwnik dolina,
 Przecięta węzłem rzeki, ciągnie się bez końca,
 Góry coraz się piętrzą, las nad lasem spina.
 Burza!.. już chmur warkocze owiały twarz słońca,
 Już gzygzak plomienisty przeleciał po niebie,
 Ryknął lwem przebudzonym w czarnych chmur pogrzebie,
 Odgrzmiał mu nieba. Góry niedźwiedzice
 Zaryczały zjeżone — na nich czarownice
 Płaczą nie błyskawiczną na swój kolowrotek,
 A co się przerwie nitka i zapłaczę motek,
 Leci kłębek ku ziemi z szczytów w dół daleki,
 Leci struga spieniona... szczyt żegna na wieki —

*) Góralskim obyczajem z powodu licznych prze-
 żądów.

A grzmot rykiem przeraża całą okolicę
 I kona, w lżach błyskawic mrużąc lwie powieki!
 Jak gdyby sto dział na raz zagrzmiło akordem
 I szatani już niebo szturmowali mordem,
 Jednak darmo ich wściekłość ramię swe natęży,
 Bo piekło i tyrany prawda tu zwycięży,
 Na chmurach plomienistych śnieżna depce węża...
 Świsł, szum, hałas i loskot wezbranych z gór zdrojów,
 Co przeskakując glazy, po sosnach zwalony
 Pluszcza w dół; z dali ryki trzód w las rozpiez-
 chnionych,
 Nawolywania, głosy pełne niepokojów.
 Grzmot słabnie, nikną chmury — tu zwalona sosna,
 Po jej mchach zawy strumień pędzi na kamienie,
 I znów cicho — fujarkę słycać i dzwonięcie.
 O! powraca uroczna, pełna cudów wiosna...
 Dźwigają się już chmury — ta logła na skałę,
 Ta się ruszyła, tamta dźwiga się niedbale,
 Lecz uchodzi i ryczy skarg głosem spiżowym.
 Ach! tęcza! wschodzi drżąca i cała radośna,
 Aureola lez ziemi, nad borem sosnowym!
 Joannę wtedy śniłem*); tęskny jej oblicza,
 Zdalo mi się w tej tęczy dojrzeć, jak dziewicza
 W kształt jej się przeaniela, we mgłach, tajemnicza.
 Bięgnę ku niej, wyprzedzam orły, góry, skały!
 W tej tęczy się żrenice moje zakochały;
 Lecę, przeszkody strącam, po gadzie, co szepece:
 „Nie chodź!” i grozi żądlem, idę dalej, depczę!
 Spieszę — dosięgam kresu — chwila, jeszcze chwila!
 Przelatuję po glazach, co z muzyką zdroju
 Wyjrzały, drzew się chwytam, drę się w niepokoju,
 O drogę pytam orła, jaskółki, motyla.
 Stanąłem — wyżyłem drgające ramiona
 I tęczę**) mam na wieki przykułem do łona!

(C. d. n.)

Historja królów elekcyjnych

od Zygmunta III do Stanisława Augusta.¹⁾

Przez

IGNACEGO hr. POTOCKIEGO,

Marszałka W. K. Litewskiego.

Z Archiwum Wróblewieckiego (tomu III)

Wydzał W. T.

Zygmunt III.

Nie pozostawił dzieci Batory, pociągnięty
 do ślubu z Anną królową, przeszło pięćdzie-

*) Mowa o utworze dramatycznym tego imienia.

**) Tęczę lud tamtejszy zowie: kraska.

1) Historja królów elekcyjnych, którą drukujemy, napisaną została przez Ignacego Potockiego i z rękopisu jego ręką skreślonego przepisana. Nie tyle nowych spostrzeżeń, badań, przyczyn i skutków tychże w tej zwięzłej a treściwej pracy poszukiwać należy, jak jedności i oryginalnych na cały tok dziejów poglądów. Ocenia ludzie światli, jak biegłym aż do wirtuozostwa być trzeba w znajomości dziejów krajowych, by je tak dokładnym obrazem w te ciasne móżdżki ująć ramy. Praca ta wreszcie (ile się zdaje z listów jako elementarna dla Komisji Edukacyjnej skromnie podjęta) przedewszystkiem cenną jest i ciekawą jako spuścizna literacka takiego wielkiego meża stanu a patrioty znakomitego, jakim był Ignacy Potocki, a co niemięniej ciekawę, to i sąd, jaki o epoce współczesnej sobie wydał. Cześć jego pamięci! (Prz. wyd.)

ściecioletnią. Bezkrólewie po nim stało się tem samym trudniejsze, a z przyczyny zawziętości Zborowskich z Zamojskim, swawolniejsze. Chęć Zborowskich przywrócenia swojej przewagi, zburzenia dekretów na nich wypadłych, upokorzenia Zamojskiego, a z tego powodu poniżenia władzy hetmańskiej, zastąpiły publiczne Rzeczypospolitej sprawy na konwokacyjnym sejmie. Więcej na następującej elekcji znaczyły wojska stron przeciwnych, jak senat i stan rycerski, równie na dwie części podzielony. Podawali się do korony, Ernest, Mateusz i Maksymiljan książęta austriaccy, bracia Rudolfa II cesarza, także Fiedor car moskiewski, nadto Zygmunt syn Jana króla szwedzkiego a po matce wnuk Zygmunta I. Za nim była Anna królowa wdowa — wszyscy Zborowskim przeciwni, a na ich czele Zamojski, który zwyciężkim mieczem króla Polsce nadał. Po próżnych prymasa Karnkowskiego do ugody staraniach, ogłoszony został królem Zygmunt przez prymasa w Warszawie, naznaczony zjazd w Wiślicy, gdzie spisawszy *pacta conventa* z posłami szwedzkimi w tymże duchu co i z poprzednimi królami, warując zawsze pokój i wolność różnowiercom, Zamojski powtórnie Zygmunta królem polskim potwierdził.

I Zborowskich strona z Maksymiljanem układała *pacta conventa*; wszakże Maksymiljan nie dostąpiwszy konony, nie uszedł niewoli po przegranej w Byczynie, od Zamojskiego wzięty i do Krasnego Stawu odesłany. Zygmunt przed zupełnem na Maksymiljanie zwycięstwem uwieńczony w Krakowie koroną został, odłożywszy do dalszego czasu ustąpieni Estonji, której po nim Polacy wymagali, kiedy ojciec jego na takowe ustąpienie zezwalać synom uporczywie zabraniał. Niewola Maksymiljana ułatwiła z austriackim domem odstąpienie od korony, a pomyślny los Zamojskiego i przeciwnych do uznania Zygmunta za króla pociągnął, i takowe za przebaczenie i darowanie wszelkich uraz i krzywd stronie nieprzyjaznej, to jest amnestję, postanowiono.

Pozorne tylko to złączenie się umysłów było. Z powodu podróży króla do Rewlu celem widzenia się z ojcem, przeciwni Zygmuntovi rozsiali wieść po Polsce, jakoby on o powrocie do Szwecji zamysłał i ustąpienie tronu Ernestowi księciu austriackiemu miał w przedsięwzięciu.

Oblakani Polacy takowymi odgłosami, nie mocno brali się do opatrzenia kraju przeciw Turkom, grożącym wojną. Uchwały na sejmie warszawskim końcem pospolitej obrony niszczył sam prymas Karnkowski, który niesłychanym przykładem zjazd w Wielkiej Polsce obywatelów zebrawszy, opierał się wykonaniu poboru, owszem burzyć tę

kobiety znieważonej. Mam odkryć niesłychaną zbrodnię, ofiarą której stała się moja rodzina i moje szczęście. O to odkrycie dopominają się cienie mego zdradzonego i wydanego w ręce Moskali opiekuna, upomina się sprawiedliwość odwieczna, która ściga i karze występnego.

Józef zbladł, oczy w dół spuścił, a jakby niewidzialną siłą przytłoczony, nie mogąc się ruszyć z miejsca, słuchał w największym pomieszczeniu dalszego opowiadania Leontyny, w którym skreśliła znane nam wypadki w Wilnie, lub gwałtem wymuszony, następnie denuncjacji Józefa, skutkiem której była śmierć hrabiego Lawickiego i emigracja Henryka.

— Nie zerwałam od razu tych więzów, które mi narzucił zdrajca mego kraju i mojej rodziny, a nie rozerwałam ich dla tego, że uczulam się powołaną do wymierzenia sprawiedliwej kary, którą dopełniam w tej chwili oddając Józefa Zaleskiego pod piętno hanby publicznej i wypędzając go z mego domu jako zdrajcę i denuncjanta spodłonego na wieki!

Milczenie zapanowało grobowe pomiędzy zgromadzonymi, słyszeć można było głośne uderzenia serc przejętych zgrozą.

Józef drząc cały podniósł się, chciał coś przemówić, srom jednak odebrał mu wyrazy i za ledwo zdolał po cichu wyjęknąć te słowa:

— Pchnęła mnie miłość ku pani na drogę występku. Od ciebie zależało uczynić mnie człowiekiem uczciwym. Potępiasz mnie jednak i odpychasz napowrót ku zbrodni, od której mnie dla dokonania zemsty odciągnęłaś. Pani będziesz odpowiedzialną za to co się stanie!

Pomieszczenie jego było tak wielkie, głos tak cichy, iż oprócz Henryka i Leontyny mało kto rozumiał to, do mówił. Nie dokończywszy przemówienia, zerwał się i jakby gnany i ścigany przez mściwe Eumenidy, wybiegł gwałtownie z salonu na ulicę i już więcej nie powrócił.

Mówiono, że teje nocy, prawie bez pieniędzy, bo za to tylko co miał przy sobie w kieszeni w chwili opuszczenia domu, udał się w podróż do Wilna, szukać u dawnych sprzymierzeńców Moskali środków odpłaty Leontynie.

Leontyna z Henrykiem wyjechała nazajutrz do Włoch, szczęśliwa w wzajemności, jaką były ich serca.

OBRAZY Z KRAJU.

Obraz pierwszy:

KROPIWNIK.

Do Michała W***.

Przez

Ernesta Bulawę.

(Ciąg dalszy.)

II.

Spytasz mnie, jak dzień schodzi? z największą prostotą! Ale wieczór tal za nim, że minął. Pieszczotą Wspomnień się każda chwila wdzięczy, jak motylek, Co drzał na polnej róży parę wietrznych chwilek... Rano, po śnie kamiennym a pełnym wywczasu, Budził cię samo słońce, śpiew ptaków, brzęk kosy. Otwieram oczy — słyszę szum wody i lasu, A słońce sosnowymi szparami ścian, włosy Złoty promieni wpuszcza i jakimś kolorem Napełnia mój alkierz, którego by wzorem

Fra Angelico złożył tła swojej madonny. Czasem cię piorun zbudzi, jak na sąd straszliwy, Co rozdarł w górach brzewia sosny nieszczęśliwej; Czasem góral dyskretny zagra ci na trąbie, Lub palnie do jastrzębia, do strzałów zbyt skłonny, Albo gdy (by nie zbudzić) cichaczem drwa rąbie — Tapezan prosty — i siano na nim kopiec wonny, Którego koniczyna i niezapominki Skoszono, jeszcze marzą wędniąc, co się działo Wczoraj, na świecie łak — i jaką rosą zapłakalo Oko, zanim je kosa musnęła dziewczynki O piosence tak tęsknej... Ledwom rozwarł oczy, Już mnie czujnych górali drużyna otoczy, W dużej misie przynoszą mleko, czyr dymiący Za chleb czarny przeprosza cię gazda goszczący, Chleb ten, to samo zdrowie, ostry, smaczny, czarny, Plaster mi-du tak wonny przy tem ci postawi Jak gdyby od Hymetu, lub Piasta ofiarny... Między ten, to płynny bursztyn, złoci się i Izawi, W jego barwach i woni wszystkie tajemnice Stworzenia i natury — co pszczoły lirnice Tajemniczo brzęczące, zniosły i odkradły Samemu Stwórcy i myśl jego drobną zgadły, Co każdy kwiatek marzył i lipa matrona, To w tym miodzie zakłete! myśl balsamów wonna! Leżąc jeszcze na sianie, tuż w głowach okienko Małe mam, którym góry, niebo, wstęgę rzeki Widzę, i lasów ciemnych widnokrąg daleki. Z ich szumem łączę pacierz ranny w krótkim słowie, Potem na ten chleb czarny górala kozikiem Miód bursztynowy kładę — i oto śniadanie, Dalej czyr; misa z mlekiem, jagła i z koszykiem Stawiają ci poziomki, lub majin podanie, Nawet herbata z ognia „w hornietku“ już dymi, A stawia się hornietko na obrzymiej dyni, Co tuż przy oknie wzrosła w słońcu parafianka, Ale mniej, niż nie jedna w Galicji... szlachcianka. Na dzień dobry też zaszyły dwie czubate kury Godne pieszczoty rączek Zosi (z Tadeusza), Miotam im okruszyny, za niemi kot bury (Niepoń! który mi szynkę zjadł w spółce ze szczury). Dwa psy w proggu rytmicznie chwostami porusza. Jeden brytan, osadza pojedynkiem dzika, Drugi gończy — to śpiwak, baryton lasowy, Od wilka ma trzy szramy, wierny, i rasowy, On w górach zwykł mi służyć sam za przewodnika, Poloninami w lasach, na wierzech Kalinowy, A jeżeli zbladzę, on mnie sprowadza z dąbrowy. Dalej, krótki rozhower, górale z kosami Idą na poloniny, a drudzy z strzelbami Na jarzabki, zostaje Hrynio ze skrzypkami. I Andrus, bo nieborak skaleczył się w nogę, Więc kapelusz wyplata i mówi: nie mogę! Schodzę w dół — najprzód kąpiel w tym Strju dzie- wiczym

Co pędzi niewstrzymany, jak rapsod liryczny, Zimny ukrop! aż gwiazdy w zygzak błyskawiczny Migają przed oczyma — lecz potem z obliczem Pogodnym, odrodzony — pędzisz tak na góry, Jakbyś z tej wody skrzydła wyniósł wśród natury... I czujesz jakieś wonie, nigdy pierw nie czute, I widzisz jakieś barwy, pierwej nie widziane, Takie zdrowie gra w tobie, chwilę zapomniane Swobody dziecka znów wracają! Na nutę Smętną słyszysz góralskie echa, drzące spiewki, Co w dolinach przy sierpnie chórom nucią dziewczki! I las ci szumi wdzięcznie, jak księżka Homera Idziesz dalej i dalej przestwór się rozwiera, Na wsze strony warok wszędzie coś nowego wita. Tam — wśród jałowców bujna roślinność wykwiata, Tam — łąka potrząśnięta turkusów garściami, To cicho niezabudki marzą pod lasami

A każda na cię patrzy frenicą niebieską Nieobłudną i w oku z brylantową łezką... Tu wrzos różowy polen dziewiczej świeżości I astr górski, co w ostrych kołcach niewinności Martwy, bez barwy, woni, jak bez serca enota, Jak mile przy nim folka odbija prostota! Tu znów podla pokrzywa, ten Moskał natury, Co kosztem róży i folków drapie się do góry... Tuż wierny bodiak... maczek krwawy, co cyganka Wplata w heban warkocza, dalej macierzanka. Ranek cudny! na chwilę powracam do cęaty, Na brogu lub na skałe z księżką sobie leżę Najmilej tam pod brzozą, z kąd widok bogaty W odległościach bez końca! gdzie oko dostrzeże Błękity Claude Laurraina, Ruśdala bory, — Wody Ewerdingena i Calama wzory! (Czytam Jarochońskiego, oburzony czasem Na bezładną epokę z popuszczonym pasem, Za którą później darła z nas Nemezis pazy, A oby złąd nauka znów nie poszła w lasy...) Później — ze starym gazdą idziemy na łąki, Wynieść objad dla synów, co koszą od jana, — Jak Dawid nosił braciom w trawach po kolana. Po rosie, w lasach, z niebą słychać gdzieś skowronki, Które nam przewodniczą — pasmami dzikimi W górę, przez „Pełeposty“ lasy szumiąciami, I już brzęk kosy słyszeć, więc radość, bo blisko, (Już z paproci wyziera żelazko na lisy) Odzywają się echa — i kładą ognisko. Drewnianymi lyżkami w wspólnej jedzą misy I z garuków polewanych, smaczny specjal wszelki, I spoczęłem na górach. — O! lica mej ziemi Okiem was obejmuję i skrzydły orlema Wzleciawszy, radbym spytał, jako świat ten wielki, Gdzie kraina nad Polskę, strójną cudy swemi? Znam, ich o! znam nie mało, a jednak stęskniony Do Polski wracam — (nie do ludzi!) rozrzucony! Dla czego ci piękniejsza? nie trudna zagadka! Tamte kochasz oczyma — tę — sercem, bo matka! Dla czego w pośród cudów dalekich ci śpiewa Jej imię na dnie serca? bo jest nieszczęśliwa! W dalekie nieraz góry zapędzon samotnie, Wśród jarów odpoczywam, zachwycon stokrotnie, W dali widziałem Urycz tak mi ukochany, Wylaniający z borów szczyt swój wiekom znany, Poznałem że od strony idąc Kropiwnika Najwspanialszy, (od Tustanowic, w lasach znika), Z tą zaś jak skamieniała katedra dwuwieża, Co Rheims cudnym frontonem aż w niebo nderza... Czasem tratwą się puszczam w te góralskie tany! Po szypotach, gdzie w słońcu już klejnot z kamyką. Ach! i z smutkiem poglądam na ten kraj kochany, Gdzie niestety polonizm jak kamfona znika, Bo piędź po piędzi ziemi dźwierz cudzoziemiec, Jeżeli nie żyd powszechny, pewnie wrogi Niemiec: A lud bez mistrza, biedny, nieszczęsny, zwodzony, Jest jak mąż co do czasu w posąg zamieniony... Lecim, płyniem, a wioślarz na skrzypeczkach skomli I mały bojko sobie wtórzy wciąż na dromli... Tam pasalo macieństwo dwie bieluchne gaski I górskich kwiatów niosło mi z uśmiechem wiązki. Z nim śmiać się, płakać razem umiałem sieroco. Więc macieństwo płakało za mną (było o co!). Oto Dolhe — tam piękne, Podhorodce leżą, Ich ustroniem rytmiczne rzędy topól bieżą, Dwóch braci znakomitych*) za to że kochali Naukę, utracili z pod nog ojcowiznę! Smutno! kiedy się widzi tak biedną ojczyznę W której ci co się nie pna, zawsze w tyle stali!

*) Piotrusy — jeden zoolog, drugi heraldyk i autor nieznanych prac belletrystycznych, godnych poznania, bo na zacnym gruncie wzrosłych.

W której się tyle trutniów ich kosztem bogaci,
 A drugie tyle marnia drogą ziemię traci!
 Dalej, Stryjem się ścieło oicha Jagielnica
 I najwspanialsza nad to wszystko Kruszelnica!
 I Korczyn — gdzie Paraszki tron na Karpat szczytach,
 Która cicho króluje w gromach i błękitech.
 Na jej czole najpierwszy blask wschodzącej zorzy
 Błyska — i jej zachodząc tarcz słońca się korzy,
 Purpurą lun wieczornych jak płaszczem królewskim
 Odziewając jej biodra w przestworzu niebieskiem...
 Wiem nawet, że kochanków para zbyt nie śmiała,
 Na jej szczycie swą miłość pierwszy raz wyznała...
 O Korczyn! cudny — czeka pelen cichej grozy
 Pędzła przyszłego kiedyś Salvatora Rozy.
 Jakżem w tym małym domku nad Stryjem wspominał
 Dni pierwsze, gdy m żyć ledwie i myśleć poczynał...
 Do Kropiwnika wracam, minęło południe,
 Zanim się opatrzymy, już powietrze chłodnie,
 Słońce spada, do domu czas, tam grają trąbki
 Myśliwskie, z chaty już nas witają! Jarząbki
 Przyniosł Hnatko z Rybnika, i Jędrus tymczasem
 Kapelusze mi słomiane upięty pod szalaszem.
 A Hrynio zbiegł do tratwy i z skrzypkami wita
 I czeka by mnie przewiódł, z ręki mu wykwiła
 Ołbrzymi bukiet z górskich ziół — mych przygód pyta...
 I Jędrus mnie rozmową zabawia najsną
 Kiedy spoczniem w pasiece, on z słodyczą dziwną
 Prawi o swej siostrzyczce, co się utopiła
 Dzieckiem, kiedy na Stryju wleka woda była...
 Prawi o swej kochance i przyszłym weselu,
 A niekiedy ją nawet i porzucić grozi!
 Niech płacze! w świat odejdę, tam, do krajów wielu;
 Niech płacze! pójdę druciarz, zamiast paść tu kozy:
 — A jeśli za górami serce się zepsuje
 I z tęsknoty ci pęknie? — „To go zadrutuję!”
 I ze śmiechem ucieka Jędrus mój faworyt,
 Sam zostaję w pasiece — i na gór koloryt
 Patrzę w cichej rozkoszy i niemej zadumie
 „I nie znam samotności w myśli moich tłumie!”

(Dok. nast.)

Historja królów elekcyjnych

od Zygmunta III do Stanisława Augusta.

Przez

IGNACEGO hr. POTOCKIEGO,

Marszałka W. K. Litewskiego.

Z Archiwum Wróblewieckiego (tomu III)

Wydaw. W. T.

(Ciąg dalszy.)

Na zwolonym w Polsce z tych okoliczności sejmie, przedkładał je Zygmunt stanom Rzeczypospolitej, ale napróżno, kiedy sejmujący utratę korony Szwecji interesem osobistym króla, nie zaś Rzeczypospolitej mniemali, i kiedy wszczęte o wakansa po zmarłych dwóch biskupach ubiegania się, intrygi i kłótnie cały czas sejmowania zniszczyły. Zamiedbano nawet naradzić się o poskromieniu Michała, wojewody wołoskiego, który Mohilę, multąńskiego wojewodę, z rządu i dzieczenia Multan był podówczas ogolocił. Zastąpił w tej potrzebie Rzeczypospolitą Zamojski. Własnym kosztem i za pomocą niektórych przemożnych domów, które się do niego przyłączyły i własnymi umundurowa-

nemi pułkami Mohilę na państwo przywróciły i prywatną wojną zastąpili ojczyznę od nieszczęść, które im gotował dumny Michał, wołoski wojewoda, w czasie Rzeczypospolitej bezradnej i bezsilnej.

Wojnę z Szwedami, której unikali Polacy, przyspieszyły zaczepki Jerzego Farenzbacha, wojewody wendeńskiego, na Estonję z namowy, jak się domyślać można, Zygmunta napadającego. Gdy bowiem Karol wetując takowe zaczepki, kilka miast w Inflantach opanował, wypowiedziany został za wyrokiem nowego sejmu w Warszawie pokój Szwedom.

Oslabiona wtedy Moskwa była rozruchami i niepokojami Dymitrow fałszywych. Pewny Grehory Otrepiew klasztor i wiarę swą porzuciwszy, udawał się za Dymitra, syna Iwana Bazylewicza, prawdziwego na tron moskiewski następcę. Mniszech, wojewoda sandomierski, dawszy mu wiarę i przystęp do swego domu, wsparł go pomocą zbrojną z przyjaciółmi swymi, celem wydania mu za mąż córki, skoroby tronu dostąpił. Zasilony fałszywy Dymitr pomocą panów polskich, wsparty łatwownością ludu moskiewskiego, wzmógł się do stopnia, iż Borysa, podówczas w Moskwie panującego liczne wojsko rozprószył, i gdy tenże wkrótce potem życie zakończył, Dymitr fałszywy do stolicy Moskwy przyjęty, za cara uznany został.

Nie długo trwało omamienie ludu, mniej jeszcze przychylność ku Dymitrowi przez to, że gardził greckiego kościoła obrządkami. Powstał bunt ludu w czasie samego wesela Dymitra z Maryną Mniszchówną i otoczono dom książęcy; Dymitr z wielu Polakami zabity, Mniszchówna z niektórymi ucieczką ocalona, Bazylu Szujski na miejsce Dymitra carem ogłoszony.

Aliści znalazł się drugi człek twarzą i obłudą do Dymitra i podobny, którego baśniom jak pierwszego lud wiarę dawał, którego, co większa, sama Mniszchówna dla korony, a Polacy dla zemsty i wspólnych zysków Dymitrem przyznawali.

Taki był stan rzeczy w Moskwie, gdy doradzono Zygmunto wi korzystać z zamieszania, gdy tym celem sejm w Warszawie wojnę i pobór na nią uchwalili. Przez rok cały oblężenie Smoleńska zatrudniało Zygmunta, kiedy Żółkiewski pod Kluzynem tak znaczne nad Bazylim Szujskim, wojskiem szwedzkim wspartym, otrzymał zwycięstwo, że mu to wstęp łatwy do samej stolicy państwa uczyniło. Oblężone miasto Moskwa ustępując sile Żółkiewskiego, poddało się, Szujskiego z tronu zrzuconego wraz z dwoma bracią w ręce hetmana oddało, a Władysława, syna Zygmunta, za pana sobie obrać, byleby ich wiarę przyjął, obowiązało się.

Odrzuca Zygmunt wszystkie te umowy z Żółkiewskim, jako mniej zgodne z przywiązaniem jego do kościoła rzymskiego, dla którego już był dziedziczną Szwecję utracił. Dobył wkrótce potem Smoleńska, ale i potem dobyciu nie poszedł na pomoc wojsku swemu, już z przyczyny tak długiej zwłoki w zamku stolicy Moskwy od ludu zbrojnego obłożonemu.

Żółkiewski doznany przeciwnościami, zmartwiony, do Polski powrócił, a na jego miejsce Chodkiewicz, wódz doświadczony, wyclany. Prózne były starania Chodkiewicza, wojsko opuszczone i niepłatne wysłało do króla poselstwo, że nie doczekawszy się dalej królewicza i pieniędzy, bronią, którą dotąd ojczyźnie służyło, zapłaty dopominać się będzie. Wyszło więc z Moskwy, a dwa związki wojskowe uczyniwszy, z królewskich i duchownych dóbr zółd sobie należący wliczało; pozostali zaś w zamku stolicy Moskwy poddać się musieli, a lud Michała Fedorowicza za cara i pana na miejscu Władysława uznał.

W tymże czasie Tomsza na wojewodę moldawskiego od sultana tureckiego wyznaczony, na Konstancyne, syna Mohilę i ziemię jego z Tatarami napada; Szczepan Potocki, Konstancyne szwagier, przybywa mu na pomoc, ale otoczony od tatarskiego wojska, pojmany i do Stambułu przywieziony został; Podole zaś Tatarzy tem łatwiej niż

Ta niepomysłna wyprawa stała się przyczyną później drugiej, równie niepomysłnej, na której Michał Wiśniowiecki własną śmiercią przypłacił, Samuel zaś Korecki po przegranej w niewolę się dostał.

Już i Turcy najazdami kozaków polskich zaczepieni, zbliżali się ku granicom podolskim, kiedy Żółkiewski zapęd ich wstrzymawszy, zawarł pokój z nimi, i bez dolożenia się stanów, Rzeczypospolitej jmieniem rzekł się wszelkiego do Multan prawa, Porcie je ustępując. Nie zaspokoili Żółkiewski tym traktatem Polski od ściany tureckiej. Betlem Gabor, książę siedmiogrodzki, poduszczal Tatarów i Turków na Polskę, a gdy Turcy Gaspara Gracjana, hospodara moldawskiego, Polsce tajemnie przyjaźnego, rugować z państwa przedsięwzięli, Żółkiewski poszedł mu na odsiecz przeciwko Turkom i Tatarom. Porażony w pamiętnej z nimi pod Cecorą bitwie, Żółkiewski cofnął się obronnie i w porządku ku granicy, lecz o milę od Dniestru nowej doświadczył klęski, wojsko po znacznej części rozproszone i pojmane zostało. Poległ w tej potyczce mężnie się do końca broniąc Żółkiewski, Koniecpolski zaś w niewolę do Stambułu wyprowadzony.

Ten był los Polski od ściany tureckiej, kiedy Władysław, syn Zygmunta, z woli

nie słyszał. Lecz dziś jeszcze, gdy jakieś *adagio* Beethowena, lub psalm Marcella, albo chór Händla, a nawet gdy w górach szkockich albo w Tyrolu ludową piosnkę słyszę, zdaje mi się zawsze, jakby owe wysokie okna kościoła znów błyszczyć poczęły a do duszy spływały dźwięki organów i nowy otwierał się świat, piękniejszy niżeli gwiazdziste niebo i siolków wóń.

I oto wszystko, co sobie z pierwszych dni dzieciństwa przypominam, a wśród tego mający drogę oblicze matki, czasem poważne spojrzenie ojca; dalej ogrody i altana, ocieniona krzewem winnym, i zieloną, miękką murawę, i starą, czcigodną biblię z obrazkami — i tu się kończy, to, co na pierwszych zszarzałych kartach pamięci odczytać mogę.

Później staje się druk coraz czytelniejszym. Jawią się imiona i postaci nie tylko ojca i matki, lecz braci i siostr, przyjaciół i nauczycieli, i wielu ludzi obcych. Ach tak, o tych obcych ludziach dość dużo zapisano w księdze pamięci!

Wspomnienie drugie.

Nie daleko naszego domu a naprzeciw starego kościoła ze złotym krzyżem, stał duży budynek, większy jeszcze niż kościół i z wieloma wieżami. Wieże te wyglądały także całkiem szaro i były stare, ale nie było na nich złotego krzyża; na ich szczytach kamienne tylko siedziały otły a duża biała niebieska chorągiew powiewała na najwyższej z wież nad wysoką bramą; po obydwóch stronach bramy dwóch jeźdźców na straży stało.

Dom ten miał bardzo dużo okien a za niemi widać było czerwone jedwabne firanki ze złotymi kutasami, a w podwórzu stały w półkole stare lipy, które zielonym swym liściem w lecie szary mur budynku ocieniały i posypywały murawę swem białem, wonnem kwieciem.

Tam zaglądałem ja nie raz, i wieczór, kiedy woniały lipy a okna oświetlono, widziałem wiele postaci, przesuających się w nich jak cienie. Muzyka brzmiała z góry i zajeżdżały powozy, z których wysiadaly kobiety i mężczyźni i znikali na schodach. Wszyscy zaś byli tacy dobrzy, tacy piękni; mężczyźni mieli na piersiach krzyże a kobiety we włosach kwiaty, i myślałem często: Czemuż to i ty tam nie idziesz?

Pewnego dnia wziął mnie ojciec za rękę i rzekł: „Pójdziemy chłopcze do zamku, musisz być jednakże bardzo grzecznym; jeżeli księżna z tobą mówić będzie, pamiętaj pocałować ją w rękę.“

Miałem wówczas lat sześć podobno i cieszyłem się jak tylko można się cieszyć, kiedy się lat sześć ma.

Tak wiele przemarzyłem już o tych cieniach, które wieczorem na oświetlonych widziałem oknach, i słyszałem już tyle dobrego o księciu i o księżnie, o ich łaskawości i o udzielaniu przez nich pomocy ubogim i chorym, i jak to ich ku temu wybrała sama Opatrzność, ażeby dobrych ochraniała a karali złych, że już dawno wyobraziłem sobie, jak to tam w zamku wyglądać musi, a książę i księżna byli już moimi starymi znajomymi i zdawało mi się, że znam ich tak dobrze jak mego dziadka do orzechów i moich ołowianych żołnierzy.

Serce było mi gwałtownie, gdy wstępowałem po wysokich wschodach z moim ojcem, i podczas gdy mnie jeszcze uczył, jak mam do księżny a jak do księcia mówić, otwarły się po-

dwoje a przedemną stanęła wysoka kobieca postać, z dziwnie przejmującymi oczami. Zdawało mi się, że podeszła ku mnie, aby mi rękę podać. Miała wyraz w twarzy jakiś już dawno mi znany, a tajony uśmiech przebiegł jej usta. Widząc to, nie mogłem się już więcej powstrzymać, i kiedy mój ojciec jeszcze u drzwi stał — a co dla mnie niezrozumiana było zagadką, niski oddawał ukłon — jakby popchnięty sercem, które mi gdzieś aż do gardła się cisnęło, poskoczyłem ku pięknej pani a zawisłszy jej na szyi, całowałem jak matkę.

Piękna wysoka pani nie miała przeciw temu i głaaskała mnie i uśmiechała się. Ojciec jednakże ujął mnie za rękę, odprowadził na stronę i powiedział, że byłem bardzo niegrzeczny i że mnie tu już więcej nie przyprowadzi.

Wtem pomieszało mi się w głowie, krew uderzyła mi do twarzy, czulem, że mi ojciec krzywdę wyrządził. Popatrzyłem więc na księżnę — chciałem żeby mnie broniła, ale na jej obliczu zobaczyłem wyraz łagodnej powagi. Więc spojrzałem na panie i panów obecnych w salonie, bo zdawało mi się, że ci w pomoc by mi przyjść powinni. Ale oni śmiali się tylko.

Tu łzami zasłzyły mi oczy i wybiegłem przez drzwi, po wschodach, koło lip w podwórzu do domu i oparłem się aż koło matki, której się rzuciłem w objęcia, łkając i płacząc.

— I cóż cię złego spotkało? — zapytała matka.

— Ach mam! — zawolałem — byłem u księżny, a ona taka dobra, piękna pani, całkiem taka sama jak ty, kochana mam, i koniecznie musiałem ją ująć za szyję i ucałować.

— Ach! tegoś był nie powinien robić, bo to są obcy ludzie i bardzo wielcy państwo.

— A i cóż to są ci obcy ludzie? — zapytałem. — Czyliż nie wszystkich ludzi kochać mi wolno, którzy się na mnie tak łaskawemi patrzą oczami?

— Kochać ich możesz, mój synu — odrzekła matka — ale tylko okazywać tego nie powinien.

— A czyż jest w tem co złego — zapytałem — że ja ludzi kocham? Bo dla czegoż nie mam im tego okazywać?

— Tak, masz słusność, dziecko — odpowiedziała matka — jednakże musisz teraz postępować jak ci ojciec każe, a kiedy będziesz starszy, pojmiesz, dla czego nie wszystkim pięknym paniom z przyjaźnią witającemi cię oczami na szyję rzuć się wolno.

Dzień był wtedy pochmurny. Ojciec wróciwszy do domu, utrzymywał, że byłem niesforny. Wieczór ułożyła mnie matka do łóżka, ale spać nie mogłem i wciąż myślałem, co też to za jedni są ci obcy ludzie, których kochać nie wolno.

(C. d. n.)

OBRAZY Z KRAJU.

KROPIWNIK.

Przez

Ernesta Buławę.

(Dokończenie.)

Wirchy gór od południa długo złości słońce
I stopniami błednieje... a trzody dzwoniące
Z gór schodzą ku dolinom, stają pić u rzeki...
Tam fojarka pastusza — głos dzwonu daleki,

Płactwo senne ku gniazdom ciągnie... jak przed wieki
Kościołek mały stoi, przesłiznie rzudony.

A w nim stare portrety patrzą tak sordecznie!
Z Sobieskim wy chadzali, heu! w dalekie strony,
Więc część wam, część i miłość niech świeci słonecznie!

Coraz ciszej... Słońce się ściela ku dolinom,
Spada, ozlaca wstęgę Stryja — i wiklinom
Śpiew wrócili słowiki; a las w westchnień tłumie
Jęczy gdzieś w chrobrych wieków pograżon zadumie.
Dzwon wieczorny już umilkł z tamtej strony rzeki,
Pół słońca z za gór, strugę światła już z wysoka
Zlewa — ostatnim blaskiem patrzy w świat daleki,
Jak przeszłość, co umiera z jasnością proroka!
Zgasło!... Jeszcze flet słychać, bliżej dzwonią trzody
I cicho rycząc, u wrót stanęły, od wody.

Cisza w chacie — samotno, ostatnie promyki
Drża na ścianie jak błędne, gasnąco ogniki,
Brzęk much tylko jak w ulu i głos mego pióra.
Co lata po papierze — w cieniach niknie góra.
To noc! Leci, rozplata włosy chmur powiewem
Chłodnym a poprzędzona nocnych ptaków śpiewem

I wlokąc płaszcz gwiazdzisty za sobą, osłania
Góry, lasy, z mgły rzuca po szczytach posłania,
Ze splotów rozczochranych lecące, nad góry
Perły rosy lśnią łzawo — z warkoczów jej chmury
Błysną diademem czoła — księżyc jej perłowy

Chłodzi wieńszat jej lotnych, trzmieli bór sosnowy,
Więc okienka zawarto i wieczór gotowy.
Gazdżina już zapala luczywo i ściela

Kożuchy na tapczanach, na nich łógniem śmiele.
Patrzę, czy się gdzie nie skrył cichy wąż pod lawę,
By się ogrzać przy ogniu (oczy ma ciekawe
Jak człowiek, co się dobrem nie godzien ucieścić,
W wszystkim szuka zlej strony, słodki, wart roz-

grzeszyć).

Więc gawędy, powiastki, bajki; toż myśliwi
Legli z krótkimi fajki, wpółseni, szczęśliwi.
Hrynio chrapie na piecu, a przy nim dwa koty,
I zeszli się sąsiedzi, radza do roboty.

Dziwno lud ten uzdolnion, Jest tam pisarz gminny,
Zwany Świszczem, któremu wszystko prawie znane,
Ludy, dzieje, obyczaj najdalszej krainy,
I uczy własne dzieci, choć czoło stroskane,

Wieloryb czy krokodyl, Chińczyków dziwactwa
Zna, czy do wędrownego przyłączał się płactwa,
Czy o tych krajach gadał z bocianem, żorawiem?
Gdzie on to słyszał? czytał, badał? albo ja wiem?

W pracy ciężkiej sam sierpem i sam kosą robi,
A jak mistrz swą pasiekę nad wszystko sposobi *)
Po rasku. Słowackiego „Ojca zadżumionych“
Czytał. Szczęśliwy wieszczu! iluż uwiecznionych
Pozazdrościć ci może, że do serca ludu
Przemówić potrafiłś tym językiem dudul

A tymczasem na kuchni, co jak katakomb
Głęboko murowana jest i bez komina,
Ogień huczy i dym się u sklepienia spina,
Ulatując suftem — czasem leśna trąba

Ozwio się z bydem w datę — płomień bucha, leca
Iskry, jak bujne ziarna, i wśród cieniów świeca,
I gwał, gdy już płomień ścianę przygrzał szczerzo,
Rzek, „że czerwone ciele czarną krowę liże.“

Znowu misa na stolku i gorale siedzą
Z łyżki drewnianemi, razem zwolna jedzą,
Psy wierne szczurzą uszy, w kącie na przypiecku
Stara cyganka na sen coś tam szepce dziecku;

Stary Ozyrek się z fajką tuż przy ogniu skulił
I jał prawie bajeczke (wódka się rozczulił).
Tylko jego głos słychać. Na siedzących w kolo
Ogień po czarnej ścianie Rembrandta tonami

*) Otrzymał nagrodę od Tow. pszczelniczego.

Brza polświatła, miota płomieniem wesolo
Przy cichym śpiewie świerszczów, co swemi szparami
Patrzy — jeden do ognia ku garnkom wylał,
A Czyrek bajkę prawi, wie że nikt przorzył:
Była sobie dziewczyna, której nie żądano
Do tańca, gdy wesolo w karczmie tańczowano,
Ba, zawsze była smutna; czemu? nie wiedzieli,
I nie umiała dobrze uprząść swej kądzieli;
Triko upiór, co w kacie za ławą siadował,
Kilka nocy z nią w dzikim tańcu przotańcował...
I raz, gdy szła do domu, upiór za jej cieniem
Powłókł się po księżycu, stanął za podsieniem,
Każe: otwórz Marysiu! Rzekła: nie otworzę! —
Ojciec umrze! — Niech umrze! precz w piekło upiorze!
Nazajutrz zmarł ojciec; wieczór po pogrzebie,
Pak do chaty. Znow upiór, tęskny widzieć ciebie.
Każe: otwórz Marysiu! Rzekła: nie otworzę! —
Matkać pomrze! — Niech będzie! Precz hydny upiorze!
Nazajutrz matka zmarła. W trzy dni puk do chaty,
Upiór drzy już od zimna, wyje pies kudłaty.
Stał długo, śmiał się puszczyk — czy Maryś otworzy?
Maryś wzeciądż zaparła i wzywa sąd boży.
Otwórz, otwórz, Marysiu! Rzekła: nie otworzę! —
To umrze! — Niechaj umrze! precz w piekło upiorze!
I nazajutrz umiała.

W całej wsi plakano,
Choć za życia tańcować z nią nigdy nie chcieli.
Pochowali ją w wianku, z chlebem i pierogiem,
Ale kazali ją wykopać pod progiem
I pod próg swoją trumnę przynieść, by nie wiedział
Upiór, gdzie ją poniosą, choćby sto lat siedział...
A rzekła, że oskarży go przed Panem Bogiem.
Po pogrzebie, gdy zapiał kur i księżyc błysnął,
Upiór przywał do chaty, słucha, ząb zacisnął,
Wchodzi — chata otwarta, okna, drzwi otworem,
Puska! Pyta siekiery, czy tu nie robili
Trumny? Odrzekła: nie wiem. Progu rozhowerem
Bada, czy tu nie nieśli dziewczki w smutej chwili?
Nie widziałem! próg odrzekł. Więc pyta się drogi,
Czy tędy nie powieźli Marysienki drogiej?
Nie wiem! odrzekła droga i lasy westchnęły,
A z warkoczy brzoź ciche perły popłynęły,
I upiór w grób powrócił.

W lesie na polanie
Był kurhan Marysienki nad dzikim rozdołem,
Nad wstęgą krętej rzeki, co glucho szumiała,
Stare jodły trzmieliły jako mnichy społem,
Gdy w północ błyskawica w łzach nocy szalała.
Tam Maryś dawniej pasła owce i ognisko
Podpalala, i siedząc śpiewała piosenki,
Obrywając, tak sobie, kwiatuzzek maleńki.
Wędrownego myśliwca czasem widywała,
Co lubił piosnek słuchać; siadał przy niej blisko.
I po księżycu smutny przyszedł tam myśliwy,
Pierzeła sarna, co pasła się na jej mogile,
I znikła w mgłach. On długie przefrasował chwile,
Zastał różę na grobie, która we łzach kwitła;
Zerwał ją i w swą czapkę wetknął frasośliwy...
I do dom ledwie wrócił, gdy już noc oświała.
Rzucił czapkę o ławę, i róża, co zbladła,
Z na czapki po za ławę w ciemny kat upadła...
Rano znow szedł na łowy, i nie jadł objadu,
Ale schował na ławie i poszedł do lasu,
Wciąż głodny, seany, zanim użył wczasu,
Zajrzał do misy — pusta! a! biada ci dziadu!
I sęga wybil srodze. Tak nazajutrz było,
Ba! i na trzeci dzień się to samo trafiło.
Wrzeszcze rzekł sługa; Panie a łowcze łaskawy,
Patrz, to nie ja ci objad wyjadam. Z pod ławy
Róża wyszła, zmieniona w prześliczną dziewczę,
Różowa jej sukienka, nad gór śniegi lice!
Siedząc na ławie, jadła objad zostawiony,

A potem znow kształt jej w różę zamieniony,
Zmalał, w male listeczki główkę schylił odzian
I zsunął się pod ławkę. Ramiona wznosił młodzian
Z podziwu i lzy raptem z oczu mu się rzuciły,
Jak na wiosnę rozmarzły zdrój, co z góry pędził.
Nazajutrz się zaczęli, na ławy krawędzi
Postawił misę pełną, drżący dla swej milej...
I skoro wyszła, gromem chwycił ją w objęcia
I odrzekła radością na jego zakłęcie.
 Usta jej były zimne, ale tysiąc razy
Piękniejszą mu się zdawała (bo nie z tego świata).
Była jak powój, co się po dębie oplata
I jako te ciosane, białe jak śnieg głązy,
Co mają skrzydła, — zwa je ludzie aniolami,
I przychodzą na ziemię tylko z promieniami,
A w człowieku nie ozwa się nigdy dwa razy...
Rzekł łowiec: weź ślub ze mną, będziemy szczęśliwi!
Dobrze, ale mi ślubu dać nie mogą żywi.
Jam z upiorem tańczyła, rodzicom przyspieszyła
Śmierć, choć bez winy — więc jak ty nie będą żyli!
I poszli wraz na cmentarz o burzy godzinie,
Moc wicherów miota lasem, księżyc lampą płynię,
Błyskawice, gromnice, duchy biją w dzwony,
Sowy trzepocą w dziuplach i kruk ostrzy szpony,
Północ dzwoni i wstaje czarny ksiądz z mogily,
Daje ślub, wkłada pierścień łowiec swojej milej;
Szkielety wstają w kolo z żółtymi świecami,
Na kurzych stopkach trupie główki są świadkami.
Trzasł grom — zapadły w groby łopoczące duchy,
Łowiec na koń z dziewczyną i pędzi do domu,
Ale pędził przez bory, kędy ludzkie słuchy
Nie dochodzą, i chata nieznaną nikomu
Stała na czubie skały, nad jezior zwierciadły;
Bocian się na niej gnieździł i jaskółki kładły
Tam guiazdka. Pełno kwiatów, motyli — lecz ludzi
Nie bywało (i niech się żaden tam nie trudzi,
Bo by im chyba przyniósł nieszczęście, co w świecie
Ludzkim toczy jak robak, że ich lica zbladły).
W rok powiła mu syna — lecz krwi nie miał w sobie.
I zaów Maryś umarła, lecz rzekła: Nim w grobie
Złożysz mnie, puść od serca kroplę krwi mi dziecie,
A on i ja odżyję. Mąż miał noż u pasa,
Którym nie jedno zwierzę ugodził srogi las,
Więc pierś zranił — ożyła! dziecko pokrusniało
Jak wisznia. Odtąd bujnie w niebo przastało,
Ale ojciec już nie miał na twarzy rymionca
I tał że był starcem z obliczem młodzińca;
Bo więcej niż trza było pierś krwi utracił!
Tak żyli i nie było szczęśliwszych na ziemi,
Jak tych troje w tej chacie, z przyszłości swojemi.
Gdy raz upiór tam zajrzał ślepiami swojemi,
I skala od macierzy urwana, spoczyła
Się grzmiąc z nimi i z chatą, w pichłaj, w głębie
rzeki,

Ozolo dumne pod ziemię rozdarła zaryła,
I dziś tam, obrońnięta lasem, drzemie wieki!
A po pod skałą fale i szumia i szumi,
I gdy niedźwiedź zarzyzy, owce się tam tłumi.
Czasem słyhać, jak upiór w skały aż do rąg
Puka i każe: otwórz, Marysiu kochanul
I leca błyskawice, ślepną w porach zorze,
A troje głosów szumi: Precz w piekło upiorze!
Cóż chcesz? bym ci komentarz dał filozoficzny,
O krwi serca i różę amianitnej w aniola?
O złości, co upiorem parę zdrój kryniczny
Bierze z oczu — i proga odpytać nie zdola!
Nie! nie! Komentarz sobie zrób, jeżeliś ciekawy,
A mnie bez filozofii daj dzielić zabawy
Tego ludu dzikiego, który polubiłam;
W nim jeszcze jest fantazja, co przepadła w świecie,

U nich nie raz znalazłem, co indziej straciłem,
I młodości zapaly tam rwał w bujnym kwiecie!
By czuć poezję ludu, trza umieć żyć z ludem,
A na to trza go kochać: i pojmie cię cudem!
Więc nie dziw się, że rankiem cichym i wieczorem
Ten zwój wrażeń zebrałem, co mnie zachwyciły
Nie mniej niż te, co śniłem dzisiaj nad Bosforem,
Wśród wybranych ostatni żaden! — każdy miły.
Gdybym miał Beethowena genjusza, inną cerę
Niż ta róża pod ławą, u misy zgłodniała,
Z tej bajki najpiękniejszą stworzyłbym operę...
Pod warunkiem — by w końcu w otchłań spadła skala!
Kropiwnik 1875.

Przepisane w Stambule w dzień Bejramu 1876.

Historja królów ełokcyjnych od Zygmunta III do Stanisława Augusta.

Przez
IGNACEGO hr. POTOCKIEGO,

Marszałka W. K. Litewskiego.

Z Archiwum Wróblewieckiego (tomu III)

Wydaw. W. T.

(Ciąg dalszy.)

Tymczasem upadły korzysci ze zwycięstwa nad Szwedami pod Kirchholmem, miasta niektóre w Inflantach już był opanował Karol, kiedy znowu Chodkiewicz utracone odzyskał. Wtedy pokój ze Szwedami a wojna z Moskwą rozpoczęta — Co do Szwedów, tak w czasie moskiewskiej jako i tureckiej wojny zawieszenie z nimi broni trwało i próżne starania o pokój wieczny. Gdy bowiem Gustaw Adolf po ojcu swoim Karolu nastąpił, Zygmunt o odzyskaniu Szwecji myślał, mniemając wiek młody Gustawa za porę do tego zrećzną. Król uwiedziony radami Szwedów, stronników swoich i Michała hrabi d'Alten, poduszczał szwedzki naród do buntu przeciw Gustawowi i powrót swój do Szwecji ogłaszał. Uprzedził Zygmunt Gustaw wkroczeniem do Inflant, gdzie za pomocą na czas tylko zmyśloną Farenzbacha kilka zamków opanował, które mu znowu Farenzbach opuszczając Gustawa powrócił. Przedłużone zatem zostało między królami przymierze na lat dwa z warunkiem, aby strona chcąca wojny, trzema miesiącami naprzód drugą ostrzegala.

Zwołany sejm w Warszawie z przyczyny niepomyślnej Żółkiewskiego wyprawy, gdy Tatarzy Ruś rabowali, a sultan turecki ze zwycięstwa dumny, wypowiedział pokój Polsce, zatrudniał się sposobem dania odporu potężnemu i zuchwałemu w szczęściu nieprzyjacielowi. Hetmanem na tę wyprawę wyznaczono Chodkiewicza z Stanisławem Lubomirskim, podczaszym koronnym, i Władysław, królewicz, na tej wyprawie znajdował się. Wojska przeprawiwszy się przez Dniestr, obozem pod Chocimem stanęły. Tamże i nieprzyjacielskie wojsko zbliżyło się. Chod-